

temu nie bardzo wierzyła, przynajmniej tak mi się zdawało.

Nachyliła się i szepnęła bratu do ucha:

— W trzech dniach musimy ją zgładzić ze świata!

Potem zwróciła się do Huhlego:

— Kiedy już wiesz o wszystkim, to ostrzeżę cię raz jeszcze, żebyś się przed kim nie wygadał. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, a będziesz szedł z nami, to ci wypłacę trzy tysiące marek gotówką. A teraz, mój Jasku, przysłała mi myśl, ale powiadam ci wspaniała! Sam się żdziwisz!

— No, no, mów.

— Słuchajże, jest jeszcze u was w cyrku słynna poskramiaczka węzów, Jumbo?

— Jest, ale na cóż ci ona? — spytał brat oszołomiony.

— No widzisz, jakiś ty jeszcze głupi! Nastaw więc uszy, żebyś ani słowa nie stracił — i zaczęła mówić coś przyciszonym głosem, tak, że ją tylko obaj mężczyźni mogli zrozumieć. Jasiek Barison aż zbladł ze wzruszenia.

— Więc chcesz, żebym Jumbie skradł indyjską zmię?

— Tak jest; ale teraz idźcie, oddalcie się. Za trzy dni musi już być po wszystkim, rozumiecie? Każdy z was dostanie 3.000 marek, ale teraz odejdźcie — nagliła ich.

I jak wąż prześlizga się przez liście, tak przesunęła się Ilona przez park i pospieszyła do zamku. Nie zauważyła nawet, że w jednym z okien na pierwszym piętrze biedna hrabina przyciskała do zimnych szyb bladą swą twarzyczkę

ROZDZIAŁ XX.

Spadek po stryju.

Wróćmy się teraz do salonu Stürmerów, zamienionego na pokój żałobny.

Nieznajomy wpatrzył się w twarz zmarłej wzrokiem, pełnym niewypowiedzianego bólu.

— Jaka ona piękna — szeptał — o wiele piękniejsza od tej, jaką na obrazku widziałem. I musiałem ją znaleźć nieżywą! Czyż na tym spadku ciąży klątwa Boża, że zawsze ten, który go ma odziedziczyć, umiera? Biedna, nieszczęśliwa kobieta, tyś tu nędzę cierpiała i biedę, a ja cię szukałem, chcąc ci oddać majątek, tobie się należący!

Odwrócił się od trupa, jak złamany i podszedł ku lekarzowi, który nań patrzył zdumiony.

— Zaprowadź mnie, Adolfe, do swego gabinetu — rzekł zdławionym głosem — i pozwól, że ci się wypowiadam.

Znużony oparł się na ramieniu lekarza i poszedł z nim do jego pokoju. Usiadł na niskiej koźetce, a Stürmer obok niego na krześle.

— Widzę — zaczął nieznajomy — że nie możesz zrozumieć mojego zjawienia się i zachowania. Kiedy cię przypadkiem spotkałem dzisiaj na ulicy i usłyszałem od ciebie o dziwnej, młodej kobiecie, którą śmierć dzień przedtem zabrała z tego świata, nie wiedziałem jeszcze, że tę kobietę znam. Dopiero kiedyś mnie zaprowadził do katafalku i powiedział mi, że pochodzi z dobrej rodziny, że jest córką zmarłego już pastora z Welzendorfu, opanowało mnie dziwne przecucie. A kiedy spojrzałem w jej woskowo bladą twarz, zrozumiałem wszystko: była to kobieta, której tak energicznie od dawna szukałem.

Przed sześciu laty, jak wiesz, uściśnałem ci po raz ostatni rękę. Wyjeżdżałem wtedy na dalsze studia do Ameryki. Przypadek zrządził, że poznałem wtedy pewnego ciekawego jegomościa, którym był — stryj zmarłej. Zwrócił mi na niego uwagę jeden z moich przyjaciół, z zawodu adwokat. Spotkałem go właśnie, kiedy szedł do jednego ze swych klientów; wtedy to opowiedział mi, że klient ów wygrał właśnie proces, w którym chodziło nie o mniej ani więcej, jeno o trzy miliony!

— Biedaczysko — mówił adwokat — przez całe życie czekał na ten spadek, a teraz bardzo możliwe, że w chwili, w której mu doniosę, że go otrzymał, dni jego będą już policzone.

Tragiczna ta historia wywarła na mnie wrażenie, czemu się zresztą nie będziesz dziwił. Poszedłem więc razem z nim do tego szczęśliwego biedaka.

Już zdaleka słyszeliśmy przez okno suchy jego kaszel, wiedzieliśmy więc przynajmniej, że jeszcze żyje. Drzwi otworzyła nam jakaś szpetna baba, a kiedyśmy weszli do pokoju, oczom moim przedstawił się ciekawy widok. Na brudnym, łachmanami zapełnionym łóżku tarzał się z bólu, jaki mu piers rozsadzał, blady, wychudzony człeczek, o twarzy mimo wszystko ogromnie interesującej. Widziało

się po jego oczach, że posiada zupełną świadomość swego stanu, widziało się, że kiedyś musiał to być mężczyzna silny duchem i piękny ciałem. Nie był już młodym, ale górne myśli rysowały się na jego dumnym czole, na którym błyszczały już kroplami śmiertelny pot.

To był spadkobierca onych trzech milionów, które otrzymał w nieszczęśliwy sposób już — za późno.

Wszedłem z adwokatem do pokoju nieszczęśliwego i zamknąłem drzwi za sobą. Suchotnik podniósł się z barłogu i wpatrzył się we mnie szeroko rozwartymi oczyma. Prawdopodobnie od długiego, od bardzo długiego czasu nie widział przy sobie przyjaznej twarzy ludzkiej. Serce mi się ścisnęło z litości nad biedakiem. Nie patrzyłem już na nędzę, jaka go otaczała, a on tymczasem, zdaje się, skupił całą uwagę na mnie, bo wśród ciągłych napadów kaszlu, jaki mu piers podnosił, widziałem wzrok jego, ciągle mnie ścigający i zawsze wtedy koło ust jego błędził cichy, błogi uśmiech.



...Czyż na tym spadku ciąży klątwa Boża, że zawsze ten, który go ma odziedziczyć, umiera?...

— Pan się nazywasz Chrystyan Schmid? — spytał cicho adwokat.

— To ja jestem — odparł słabo chory. — Ja się nazywam Chrystyan Schmid, byłem niegdyś uczonym, wiodło mi się dobrze, a teraz muszę umierać w nędzy i opuszczeniu, biedny, nie mający nikogo na świecie żebak.

— Cóż znowu! — zawołał adwokat, chcąc dać otuchy nieszczęśliwemu, któremu, sądząc po jego wyglądzie, nie pozostawało już dużo życia. — Masz pan przecie przyjaciół, a biednym pan także nie jesteś. Długo czekałeś pan na pomoc, ale nareszcie jej się doczekałeś. Przyszliśmy tutaj, aby panu przynajmniej ostatnie dni życia rozświecić, jeśli już nie uda się nam uzdrowić pana zupełnie.

— Mnie tylko śmierć może przynieść uzdrowienie — zdawał się mówić chory zrezygnowanym ruchem ręki.

— Nie masz pan żadnego życzenia, którebyś mi panu mogli spełnić? — zapytałem.

— Ach — westchnął chory — chciałbym widzieć przy mojej śmierci jakieś dobre, przyjacielskie oblicze, chciałybym czuć na mej twarzy przyjazny wzrok tylko! Żyję tu od kilku miesięcy, nie słysząc znikąd dobrego słowa; nawet lekarz, który

od czasu do czasu do mnie zagląda, jest dla mnie surowy. A ja do takiego obchodzenia się ze mną, do takiego brudu nie jestem przyzwyczajony. Chciałbym oddychać jakąś weselszą atmosferą, dokonać życia na innym, piękniejszym jakim miejscu.

— Więc spełnij pan swe życzenia! — zawołał adwokat w szlachetnym zapale. — Jeżeli panu tylko siły na to pozwalają, to pana zaraz stąd wyniesiemy. Co można zrobić pieniędzmi, to zrobimy. Nabierz pan otuchy, proszę pana; przychodzimy wprawdzie późno, ale nie z próżnymi rękoma.

Zdawało się, że nagłe wzruszenie wzmocniło siły chorego.

— Kimże pan jesteś? — szepnęła bezdźwięcznym głosem — i dlaczego pan mówisz do mnie z taką dobrocią?

— Jestem adwokat Hansen. Oddałeś mi pan przed laty pewną sprawę — a to, — rzekł, wskazując na mnie — to mój przyjaciel inżynier Paweł Winkelman. Przyjmij pan od nas najserdeczniejsze współczucie.

— Ależ pan mówi o pieniądzach, których ja nie mam — dalsze słowa przerwał mu gwałtowny suchotniczy kaszel.

— Nie zawsze człowiek wie, co posiada — odparł spokojnie adwokat. — Czasem jesteśmy przekonani, że nie mamy nic, a tu naraz zsyła na nas Opatrzność, bogactwa. Pan masz więcej, niż pan potrzebujesz.

Zdawało się, że biedaczysko ożył na nowo; myślałem już, że chce wstać z łóżka.

— Co ja słyszę? O jakich bogactwach pan mówi? Więc tu nie chodzi o jałmużnę, ale o pieniądze, o prawdziwe pieniądze, prawnie mi się należące? Czyżby mój proces się skończył? — pytał gorączkowo.

Nie mieliśmy odwagi powiedzieć mu wszystkiego, bojąc się, żeby wrażenie, jakie nasze słowa musiałyby wywrzeć na niego, nie stało się dlań zabójczym. Uśmiechnęliśmy się więc tylko przyjaźnie, co nie uszło jego uwagi.

— Zdaje mi się, że się nie pomyliłem — rzekł. — A więc nareszcie, po tylu latach, sprawa się rozegrała! Ale — dodał zaraz, a głowa opadła mu na piersi — to mi już nie da szczęścia, pieniądze przydadzą się jeno na opłacenie kosztów pogrzebu.

— Co pan mówisz o pogrzebie? — zauważył mój przyjaciel — takie szczęście dodaje nowych sił!

— Za późno, za późno! — odparł słabo. Ramiona, które był podniósł ku niebu, opadły mu na koldrę, głowa spoczęła jakby w omdleniu na poduszkach, tylko w oczach jaśniała mu jakaś błoga, szlachetna myśl.

— Wiedziałem o tem — rzekł wreszcie — prawnie było po mojej stronie, ale zwątpiłem już, czy sądy mi je przyznają. Ach, gdybym przynajmniej miał jeszcze dwa dni, a choćby dzień życia przed sobą!

Przerwał mu adwokat pytaniem:

— Masz pan może jakich krewnych?

— Żyje jeszcze córka mego brata, który był dawniej pastorem w Welzendorfie.

Ale, jakby nie chciał o tem mówić, zwrócił się zaraz do mnie.

— Winienem nawet jeszcze za mieszkanie. Czyby pan nie zechciał może zapłacić czynszu mojej gospodyni i nie tylko czynszu, ale ile zażąda. Może wtedy przestanie się ze mną w ten sposób obchodzić i nie będzie mi więcej przynosić takiej zimnej herbaty.

(Ciąg dalszy nastąpi).